

Laura Bellini

Wszystkie noce poza nami

Po dwudziestu latach ich wspólne
marzenie znowu otwiera drzwi.



Wszystkie noce poza nami

Po dwudziestu latach ich wspólne
marzenie znowu otwiera drzwi.

Laura Bellini

ROMANS

SPIS TREŚCI

INTRO	4
Rozdział 1 - Drugie komplety kluczy	11
Rozdział 2 - Warunki otwarcia.....	31
Rozdział 3 - List, który nie dotarł.....	50
Rozdział 4 - Pomieszczenie za ścianą	65
Rozdział 5 - Sto sześćdziesiąt miejsc	88
Rozdział 6 - Między planem a pamięcią	107
Rozdział 7 - Szafka dwieście dziewiętnaście	129
Rozdział 8 - Noc czterdziesta siódma.....	145
Rozdział 9 - Karta dostępu	171
Rozdział 10 - Głos z nieczynnego numeru	189
Rozdział 11 - Pełnomocnictwo	219
Rozdział 12 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy	239
Rozdział 13 - Cena za milczenie	261
Rozdział 14 - Slajd, którego miało nie być.....	280
Rozdział 15 - Wiadomość, której nie wysłałam.....	310
Rozdział 16 - Warunek, którego nie podpiszę	329
Rozdział 17 - Nagranie, które miało wszystko wyjaśnić	351
Rozdział 18 - Drugi komplet kluczy	370
Rozdział 19 - Nazwiska na właściwym miejscu.....	391
Rozdział 20 - Pierwsza noc, która została	410

INTRO

Pierwszy klucz nie pasował.

Przez kilka sekund stałam przed bocznymi drzwiami kina Meteor z mokrymi włosami przyklejonymi do policzka i próbowałam wmówić sobie, że to rozsądny powód, żeby wrócić do samochodu. Była prawie jedenasta wieczorem, październikowy deszcz spływał po szybach zamkniętych sklepów przy ulicy Wschodniej, a ja miałam czterdzieści pięć lat i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że ważnych decyzji nie powinno się podejmować po dziesięciu godzinach pracy i jednej kanapce zjedzonej nad projektem hotelowego lobby.

Problem polegał na tym, że decyzję podjęłam trzy tygodnie wcześniej.

Teraz trzymałam jej konsekwencje na metalowym kółku.

Wybrałam drugi klucz.

Zamek ustąpił z ciężkim trzaskiem.

- Oczywiście - mruknęłam. - Musiałeś tylko dramatyzować.

Nie wiedziałam, czy mówiłam do zamka, budynku, czy do siebie.

Drzwi otworzyły się może na trzydzieści centymetrów i zatrzymały na czymś miękkim. Naparłam ramieniem. Po podłodze przesunął się z szelestem stos starych ulotek reklamowych, które ktoś najwyraźniej zgarnął tutaj podczas ostatniego sprzątania. "Noc francuska. Trzy filmy. Jeden bilet." Data na wyblakłym papierze pochodziła sprzed dwudziestu dwóch lat.

Podniosłam jedną ulotkę.

Przez moment znów miałam dwadzieścia cztery lata.

Pracowałam wtedy w Meteorze w weekendy, chociaż oficjalnie studiowałam architekturę i powinnam była poświęcać każdą wolną godzinę na projekty. Sprzedawałam bilety, parzyłam kawę w ekspresie starszym ode mnie i po ostatnim seansie pomagałam zamykać salę. Czasem zostawałam do drugiej, trzeciej nad ranem.

Nie sama.

Zgniotłam ulotkę trochę mocniej, niż zamierzałam, po czym wygładziłam ją kciukiem i położyłam na parapecie.

Przyszłam tutaj obejrzeć budynek.

Tylko tyle.

Od poniedziałku zaczynał się oficjalny okres przygotowawczy. Miałam sześć miesięcy na przedstawienie ostatecznej koncepcji modernizacji, zdobycie zgód konserwatorskich i udowodnienie funduszowi, który finansował część inwestycji, że nie straciłam rozumu, składając ofertę na dziesięcioletnią dzierżawę kina zamkniętego od siedmiu lat.

Moi wspólnicy w pracowni byli zdania, że straciłam.

Ja mówiłam, że dywersyfikujemy działalność.

Brzmiało znacznie lepiej niż: kiedy dowiedziałam się, że Meteor może zostać przebudowany na dyskont, nie potrafiłam pozwolić mu zniknąć.

Zapaliłam latarkę w telefonie.

Hol wyglądał gorzej niż podczas oględzin z miejskim inspektorem. W świetle dnia kurz był tylko kurzem, popękany tynk wymagał remontu, a odchodzący od ściany fornir stanowił pozycję w kosztorysie. Nocą każdy przedmiot odzyskiwał swoją historię. Zamknięta kasa biletowa.

Mosiężna barierka. Gabloty na plakaty, w których zostały jedynie pożółkłe prostokąty po taśmie klejącej.

Podeszłam do drzwi głównej sali.

Na ich drewnianej powierzchni nadal widniało małe wgniecenie na wysokości biodra.

Uśmiechnęłam się, zanim zdążyłam sobie zabronić.

- Tu będzie wejście do kawiarni - powiedział kiedyś Michał, opierając o te drzwi zwinięte plany.

- To jest wejście na salę.

- Teraz. Myślisz zbyt krótkoterminowo.

- Mam dwadzieścia cztery lata. Wolno mi.

- To pomyśl długoterminowo przez pięć minut.

Potem zabrał mi ołówek, a ja próbowałam go odzyskać. Cofnął rękę. Pchnęłam go. On wpadł biodrem na klamkę.

Śmialiśmy się tak głośno, że właściciel kina wyszedł z biura i zagroził, że wyrzuci nas oboje.

Dwadzieścia lat.

Przeciągnęłam palcem po wgnieceniu.

Nie wiedziałam, dlaczego właśnie ten ślad okazał się trudniejszy niż wszystkie zdjęcia, które kiedyś usunęłam.

Otworzyłam drzwi.

Zapach był dokładnie taki, jakiego się spodziewałam: kurz, wilgoć, stary materiał siedzeń i drewno sceny. Sala opadała łagodnie w stronę ekranu. Dwieście siedemdziesiąt osiem foteli, z czego sto dziewięć wymagało renowacji, trzydzieści cztery prawdopodobnie wymiany, a reszta profesjonalnego czyszczenia. Wiedziałam to, ponieważ spędziłam ostatnie dwa tygodnie, analizując każdy metr budynku tak, jak analizowałam wszystkie inwestycje.

Liczby były bezpieczne.

Liczby nie pamiętały, że kiedyś siedzieliśmy w ostatnim rządzie po nocnym seansie i projektowaliśmy przyszłość, na którą nie mieliśmy pieniędzy.

Kino. Kawiarnia. Mała scena. Pokazy filmowe do późna. Spotkania, koncerty, wystawy. Miejsce, które miało żyć wtedy, kiedy reszta miasta zasypiała.

Nasze miejsce.

Najbardziej absurdalne było to, że po dwudziestu latach mój projekt niewiele różnił się od szkiców, które robiliśmy wtedy w notesie Michała.

Tylko jego już w nim nie było.

Światło zamigotało.

Znieruchomiałam.

Nie było to światło mojego telefonu.

Nad bocznym przejściem zapaliła się jedna z lamp awaryjnych.

Potem druga.

- Świetnie.

Instalacja elektryczna miała zostać odłączona poza obwodem technicznym. Tak zapewnił mnie administrator.

Ruszyłam w stronę wyjścia, gdy z tyłu sali dobiegł mnie cichy mechaniczny stuk.

Raz.

Drugi.

Trzeci.

Znałam ten dźwięk.

Odwróciłam się w stronę kabiny projekcyjnej.

- Niemożliwe.

Stukanie przyspieszyło.

Na ekranie pojawił się biały prostokąt.

Światło przecięło ciemność nad moją głową, ukazując wirujące drobinki kurzu. Przez kilka sekund ekran drżał, potem obraz ustabilizował się.

Zobaczyłam kasę Meteoru.

Starą. Jeszcze przed remontem z 2004 roku.

Obraz był ziarnisty, nagrany amatorską kamerą. Ktoś przesuwiał obiektyw po pustym holu, aż w kadr weszła dziewczyna w czerwonym swetrze.

Ja.

Młodsza o dwadzieścia lat.

Roześmiana.

Unosiłam przed kamerą arkusz papieru.

Na górze widniał odręczny napis: METEOR 2.0.

Niżej nasze szkice.

Poczułam chłód, którego nie miał nic wspólnego z temperaturą.

Tego nagrania nigdy wcześniej nie widziałam.

Na ekranie młodsza ja odwróciła się i zaczęła coś mówić do osoby trzymającej kamerę. Film nie miał dźwięku, ale pamiętałam sposób, w jaki wtedy układałam usta, pamiętałam nawet ten sweter. Kamera zadrżała, po czym obraz przesunął się w stronę lustra wiszącego naprzeciwko kasy.

W odbiciu zobaczyłam mężczyznę.

Wysokiego, szczupłego, z kamerą przy twarzy.

Michała.

Cofnęłam się o krok.

Projektor zatrzymał się.

Obraz zniknął.

W sali znów było ciemno.

Usłyszałam otwierające się drzwi kabiny projekcyjnej.

Nie poruszyłam się.

Kroki na metalowych schodkach były wolne i znajome w sposób, którego nie potrafiłabym racjonalnie wyjaśnić. Nie widziałam go od dwudziestu lat. Człowiek nie powinien pamiętać czyjegoś sposobu schodzenia po schodach przez połowę dorosłego życia.

A jednak pamiętałam.

Najpierw zobaczyłam jego sylwetkę.

Potem twarz.

Był starszy. Oczywiście, że był. Włosy miał krótsze, przy skroniach pojawiła się siwizna, a linie przy ustach sprawiały, że wyglądał surowiej niż chłopak, którego nosiłam przez lata w najbardziej niepotrzebnej części pamięci.

Ale to był on.

Michał zatrzymał się kilka metrów ode mnie.

Przez chwilę patrzył na mnie tak, jakby wszystkie przygotowane wcześniej słowa okazały się bezużyteczne.

- Anka.

Nikt nie mówił do mnie tak od lat.

Zacisnęłam palce na kluczach.

- Co ty tutaj robisz?

Spojrzał na ekran, potem znowu na mnie.

- To samo co ty.
- Niemożliwe.
- Dlaczego?
- Bo ja mam klucze.

Wyjął rękę z kieszeni płaszcza.

Na jego dłoni leżało drugie metalowe kółko.

Z identycznym kompletem.

Nie wiedziałam jeszcze, co było gorsze: że ktoś dał Michałowi klucze do mojego kina, że miał nagranie naszej ostatniej wspólnej jesieni czy że po dwudziestu latach pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, był sposób, w jaki powiedział moje imię.

- Wygląda na to - odezwał się cicho - że tym razem będziemy musieli otworzyć je razem.

Rozdział 1 - Drugie komplety kluczy

Przez kilka sekund patrzyłam na klucze leżące na dłoni Michała i zastanawiałam się, czy istnieje rozsądne wyjaśnienie sytuacji, w której mężczyzna niewidziany od dwóch dekad pojawia się w środku nocy w budynku, na którego remont właśnie zobowiązałam się wydać znaczną część swoich oszczędności, uruchamia stary projektor z nagraniem naszej młodości, a następnie oznajmia, że będziemy musieli coś zrobić razem.

Nie znalazłam takiego wyjaśnienia.

- Nie - powiedziałam.

Michał uniósł brwi.

- To było szybkie.

- Co było szybkie?

- Podjęcie decyzji, zanim dowiedziałas się, o czym rozmawiamy.

- Przez dwadzieścia lat zdążyłam wypracować kilka nowych kompetencji.

- Pamiętam, że wcześniej też całkiem sprawnie odmawiałaś.

- A ja pamiętam, że ty całkiem sprawnie znikaeś.

Słowa wyszły ostrzej, niż planowałam. To mnie zirytowało bardziej niż jego obecność. Przyszłam tu z teczką pomiarów, kalkulatorem kosztów i planem na sześć miesięcy. Wszystko, co dotyczyło Meteoru, miało od tej chwili być policzalne. Metry, terminy, obciążenia, liczba miejsc, koszt renowacji fotela, wymiana instalacji, przychód z kawiarni. Tymczasem wystarczyło, żeby Michał Wolski